

JÓZEF BAZYLIŃSKI

Kpr. Józef Bazyliński, 42 lata, rolnik, żonaty, wysiedlony przymusowo do ZSSR.

Po wkroczeniu czerwonej armii na teren kolonii Zastawie, gm. Ludwipol, pow. Kostopol władze sowieckie zorganizowały komitet pod nazwą *Siel. Rady. Siel.* Rada zaraz rozpoczęła swoją pracę od spisywania majątku wszystkich kolonistów. U mnie w domu spisali cały inwentarz żywy i martwy, motywując spis tym, że w razie zauważenia jakichś braków w gospodarstwie władze sowieckie mają braki te uzupełnić. Czynność strażnika leśnego pełniłem do końca 1939 r. Następnie na zapytanie władz sowieckich, czy godzę się dalej pełnić funkcję gajowego, oświadczyłem, że [ze względu] na ogólne pogorszenie się stanu mego zdrowia funkcję tę muszę opuścić.

Po opuszczeniu przeze mnie stanowiska gajowego, władze rozpoczęły rozprzedawanie mego majątku, a w szczególności wewnętrznego urządzenia mieszkania: mebli, zboża, ziemniaków itp.

10 lutego 1940 r. NKWD z milicją miejscową rankiem, o godz. 5.00, weszło do mego domu. Przeprowadzili jeszcze jedną rewizję w poszukiwaniu broni i oświadczyli mi, że w przeciągu pół godziny mam się załadować na furę razem z całą rodziną. Tego samego dnia byliśmy załadowani do wagonu towarowego, do którego wpakowali łącznie z dziećmi do 70 osób, a drzwi wagonu pozamykali na haki.

Podróż trwała 20 dni do miejscowości w ZSRR, miasta Kotłas. Na całą tę podróż dali nam tylko raz chleba po jednym dwukilogramowym bochenku na pięć osób. Za Kotłasem na stacji kolejowej Szobji [?] zostaliśmy wyładowani z wagonów przy temperaturze 50 stopni poniżej zera i kazali siadać na sanie przy stacji stojące, na których nie było ani źdźbła słomy. Podróż saniami trwała sześć dni, w czasie których była okropna – burzliwa, wietrzna – pogoda,

zamieć śnieżna i mróz. Po przebyciu tej podróży 80 proc. dzieci poumierało na skutek przeziębień, a jedno zmarzło z mrozu.

120 rodzin zostało rozmieszczonych w posiołku Witiunin w 4 barakach. Po parudniowym odpoczynku wyznaczyli nam wyrąb lasu z oznaczeniem z góry do wypracowania dziennej normy, na którą trzeba było wyrąbać, otrzebić z gałęzi i je spalić, a [nieczytelne] czego nie mógł wyrobić [nieczytelne].

Po kilku dniach pracy dali nam tytułem zapomogi po dziesięć rubli na osobę, które później potrącali przez cały czas pracy aż do zwolnienia. Po 20 proc. od zarobionej sumy i 25 proc. na dobrojenie czerwonej armii. W razie, gdy który zachorował i nie wstał do pracy, winny niestawienia się choćby jeden dzień miał sprawę sądową za to przestępstwo i otrzymywał wyrok, mocą którego było mu potrącanie przez 5 miesięcy po 25 proc. od zarobionej sumy za każdy dzień niepracujący, czyli jak oni nazywali *prohuł*. Ponieważ trudno było zabezpieczyć się od zachorowań ze względu na ciężkie warunki życia, prawie każdy miał potrącanie 70 proc. swych zarobków. Z pozostałej sumy ciężko było wyżywić rodzinę i siebie, gdyż nikt nie otrzymywał żadnych prowiantów od władz, więc zmuszeni byliśmy wyżywać się swych pozostałych ubrań, by utrzymać przy życiu rodzinę i siebie. Jednak nie wszyscy mogli uniknąć głodowej śmierci. Było wiele takich wypadków, pamiętam w szczególności nazwisko jednego, którego spotkał taki los, a mianowicie Brochocki Władysław z Wołynia, lat ok. 25, z pow. Kostopol, wieś Sołpa.

Po zniknięciu śniegu żywiliśmy się jagodami, jak żurawiny, borówki, później grzyby. Taki stan rzeczy trwał do 14 sierpnia 1942 r. Po zawarciu umowy polsko-sowieckiej otrzymaliśmy dokument wolnego życia. Gdy zwróciliśmy się z prośbą do władz sowieckich, by nas podwieźli do stacji Szobii, oświadczone nam: „Dostańcie się tam sami swoimi środkami, a jak nie, to zdychajcie”. Na drogę nie otrzymaliśmy od władz sowieckich ani gotówki, ani żadnego prowiantu. I tak o głodzie i chłodzie, pieszo dostaliśmy się do władz polskich w Kotłasie.